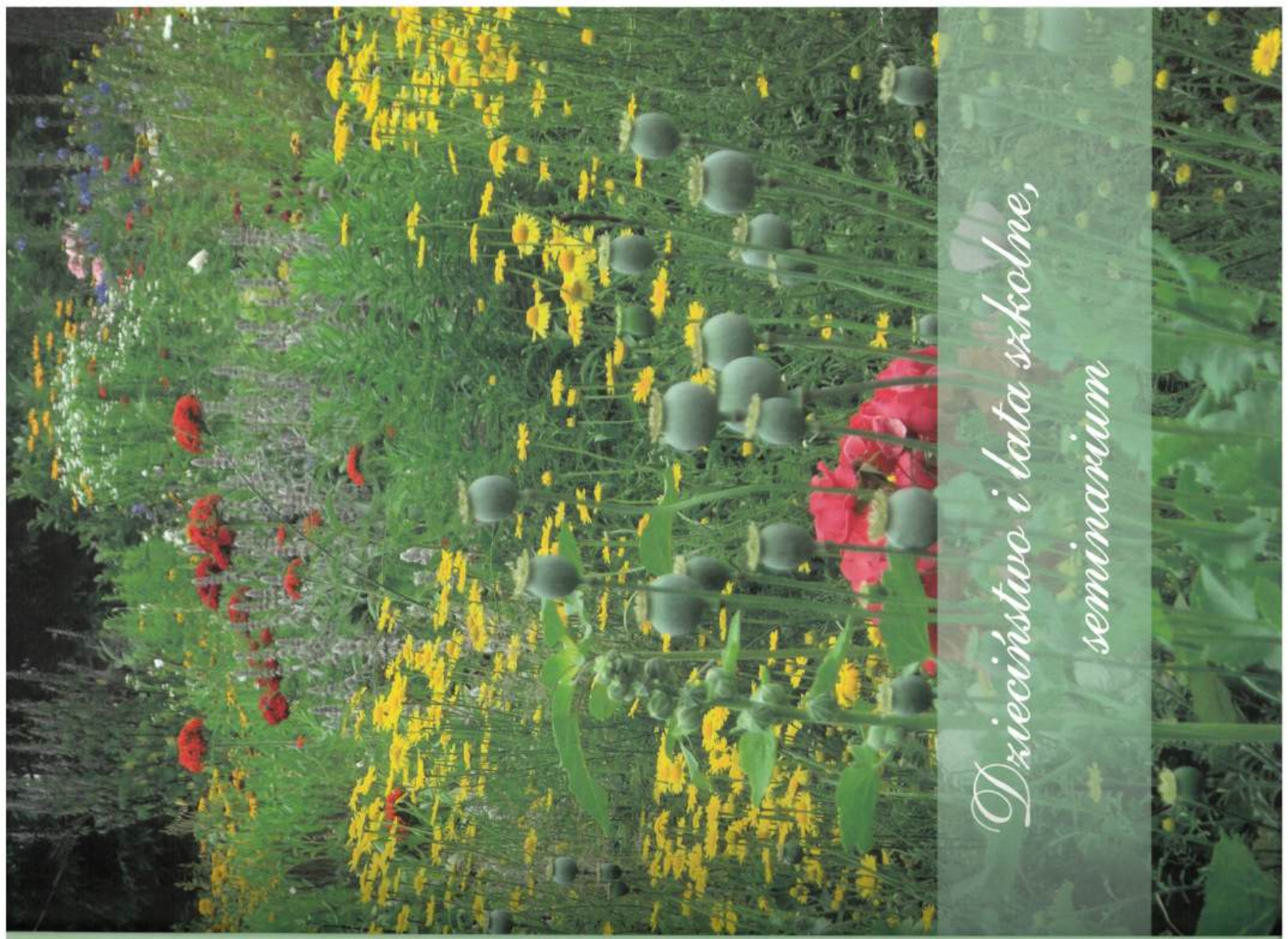


Pasterz. Tysiąclecia

Szczególnym przedmiotem [...] medytacji uczynicie postać niezapomnianego Prymasa, śp. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, jego osobę, jego naukę, jego rolę w jakże trudnym okresie naszej historii. To wszystko uczynicie przedmiotem medytacji i podejmijcie to wielkie i trudne dzieło, dziedzictwo przeszło tysiącletniej historii, na którym on, Kardynał Stefan, Prymas Polski, dobry pasterz, wycisnął trwałe, niezatarte piętno. Niech dzieło to podejmą z największą odpowiedzialnością pasterze Kościoła, niech podejmie je duchowieństwo, kapłani, rodziny zakonne, wierni każdego wieku i każdego zawodu. Niech podejmą je młodzi. Niech podejmie je cały Kościół i cały Naród. Każdy na swój sposób, tak jak Bóg i własne sumienie mu wskazuje. Podejmijcie i prowadźcie je ku przyszłości.

Jan Paweł II
Watykan, 28 V 1981 r.

*Dzieciństwo i lata szkolne,
seminarium*



STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI, Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński i Warszawski, Prymas Polski, *Legatus natus*, urodził się 3 sierpnia 1901 roku w Zuzeli nad Bugiem, jako drugie dziecko w wielodzietnej rodzinie Stanisława i Julianny z domu Karp. Bardzo wcześnie, bo już w dziewiątym roku życia, tracił matkę. Naukę początkową rozpoczyna w Zuzeli, a następnie chodzi do szkoły w Andrzejewie, potem w Łomży i Włocławku.

We Włocławku też wstępuje w roku 1920 do Seminarium Duchownego.

DZIECIŃSTWO I LATA SZKOLNE

„MIAŁEM ZALEDWIE OSIEM LAT – wspomina Ksiądz Prymas – gdy ojciec mój przeniósł się stąd [z Zuzeli] do Andrzejewa. Osiem lat! Zdawałoby się tak mało, ale dziecięca pamięć jest szczególnie świeża i wrażliwa. Co mi pozostało w pamięci z tego okresu? Pozostał mi obraz Matki Bożej Częstochowskiej, którą tu widzimy. Przed tym obrazem modlił się mój ojciec i matka, która zmarła 31 października 1910 roku, zaledwie w kilka miesięcy po przeniesieniu się ojca z Zuzeli, i pochowana jest w Andrzejewie. Wiele razy znajdowałem swojego ojca – którego Bóg obdarzył głęboką religijnością i darem modlitwy – właśnie tutaj, przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Tu spędzał chwile wolne od licznych prac przy budowie kościoła. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego ojciec tyle czasu kłęczy przed tym obrazem. Dziś to rozumiem. Był wierny darowi modlitwy do ostatnich swoich dni. Dziś rozumiem jego modlitwy i służbę, którą traktował nie jako zawód, ale jako powołanie sługi ku chwale Bożej, grając i śpiewając w dawnej, zabytkowej drewnianej świątyni.

Co mi jeszcze pozostało w pamięci? Pozostała mi ta chrzcielnica, z której kapłan, sędziwy ksiądz kanonik Antoni Lipowski, ówczesny duszpasterz tej parafii, czerpał wodę chrzcielną, aby omyć mnie i moje trzy siostry.

I co jeszcze pozostało w mojej pamięci? Pozostała mi szkoła, do której wprawdzie krótko chodziłem – byłem jeszcze mały – ale w każdym razie zasiadałem w jej ławkach, w tym samym budynku, który przedziwnie ocalał. Tutaj pobierałem pierwsze nauki. A uczyłem się później długo, bo niemal do trzydziestego roku życia – w różnych szkołach, w seminarium, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i za granicą, w Rzymie.

Pamiętam również mojego nauczyciela oraz niektórych kolegów i koleżanki z ławy szkolnej. Pamiętam też, że nie bardzo kwapiłem się do książki

i nieraz ulegałem obowiązującemu wówczas w szkole «kodeksowi karnemu». Najczęstszą sankcją karną było pozostanie w szkole bez obiadu lub «łapa». Zdaje się, że dzisiaj nie stosuje się tych sankcji. Moja koleżanka doradzała mi wówczas: Po co masz siedzieć bez obiadu? Idź, dostaniesz «łapę» i wypuszczą cię do domu. Bałem się strasznie, jednak uległem «pokusie». Dostałem pierwszą w swoim życiu «łapę», aby zrozumieć, ile trzeba zapłacić za prawdziwą wiedzę, naukę i mądrość. Później ich już więcej nie brałem. Za «łapę» dostałem «miskę soczewicy», bo poszedłem na obiad do pobliskiego domu.

Pozostał mi w pamięci sędziwy duszpasterz, świątobliwy ksiądz Lipowski, który mnie ochrzcił. Często musiałem do niego biegać, posyłany przez ojca z różnymi sprawami, głównie z metrykami do podpisu. Ksiądz kanonik nie lubił, gdy się garbiłem. Nazywał mnie «garbulem». Nieraz mi mówił: Jak ci przyłożę sekala, to się wyprostujesz! Prostownałem się jak mogłem. Do dziś dnia staram się trzymać prosto.

Pamiętam tego kapłana, gdy nauczając z ambony w starym kościele niekiedy płakał, wspominając najrozmaitsze cierpienia, braki i grzechy wspólne wygnańcom, synom Ewy. Umiął też po swojemu godzić małżeństwa.

Co jeszcze pamiętam? Pamiętam pierwsze po obudzeniu się wejście przez okno na niedaleki Bug, którym płynęły berliny ze zbożem, świecąc z daleka białym płótnem żagli. Było to dla nas ulubione zajęcie: prosto z łódka bieglśmy do okna, aby je zobaczyć.

Ale co najbardziej zapadło mi w pamięć, to rozpoczęcie budowy tego kościoła. Wtedy budowano inaczej, z wielkim trudem. Stroną gospodarczą i rachunkową budowy zajmował się mój ojciec. Do niego należało zatwierdzanie wielu spraw z murarzami i majstrami. Pamiętam pierwsze wykopy pod fundamenty świątyni. Widziałem obrzymie sterty wydobytych przy kopaniu fundamentów kości waszych pradziadów, dziadów i ojców, które później uroczystym pogrzebem pochowano pod tą świątynią. Pamiętam, że mekiedy byliśmy wzywani na pomoc, gdy zabrakło cegły na rusztowaniach. Przychodziły wici do szkoły, a wtedy chłopcy przybiegali na plac budowy i pod kierunkiem murarzy dźwigałymi cegły z dalekich pryzm pod schody prowadzące na rusztowania. Wyżej nie wolno było iść ze względu na bezpieczeństwo. Dźwiganie cegieł było pierwszym moim przyczynkiem do budowy kościoła, najpierw materialnego, a dzisiaj – duchowego”¹.

PAMIĘĆ OSÓB Z NAJBLIŻSZEGO OTOCZENIA KSIĘDZA PRYMASA PRZECHODZIŁAM WIELOKROTNIENIE WSPOMINANE WYDARZENIE Z JEGO LAT DZIECIĘCYCH.

¹ S. Wyszyński [dalej SW], *Zuzela*, 13 VI 1971 r., w: *Siarsum corda* [dalej SC], Poznań-Warszawa 1974, s. 189–191.

„NOCA MÓJ OJCIEC zabierał mnie nieraz w odległe lasy. Jechało z nim zawsze razem kilku miejscowych zaufanych gospodarzy. Stawiali krzyże przy drogach i na różnych kopcach. Wracaliśmy w zupełnym milczeniu, nigdy nie wolno było o tym mówić ani słowem”.

„MÓJ OJCIEC Z UPODOBANIEM JEŹDZIŁ NA JASNĄ GÓRĘ, a moja matka – do Ostrej Bramy. Razem się potem schodzili w nadbużańskiej wiosce, gdzie urodziłem się, i opowiadali wrażenia ze swoich pielgrzymek. Ja, mały brzdąc, podśmuchiwałem, co stamtąd przywozili.

A przywozili bardzo dużo, bo oboje odznaczali się głęboką czcią i miłością do Matki Najświętszej i jeżeli co na ten temat ich różniło – to wieczny dialog, która Matka Boża jest skuteczniejsza: czy Ta, co w Ostrej świci Bramie, czy Ta, co Jasnej broni Czestochowy? [...]

W domu moim nad łóżkiem wisiły dwa obrazy: Matki Bożej Czestochowskiej i Matki Bożej Ostrobramskiej. I chociaż w onym czasie do modlitwy skłonny nie byłem, zawsze cierpiąc na kolana, zwłaszcza w czasie wieczornego różańca, jaki był zwyczajem naszego domu, to jednak po obudzeniu się długo przyglądałem się tej Czarnej Pani i tej Białej. Zastanawiało mnie tylko, dlaczego jedna jest czarna, a druga biała? To są najbardziej odległe wspomnienia z mojej przeszłości”².

„W DZIECIŃSTWIE wpadłem kiedyś w szalony gniew i spaliłem moim siostrom (a miałem ich cztery) wszystkie lalki. Możecie sobie wyobrazić, jaki był płacz i co mi groziło, gdy przyszła «sprawiedliwość» w postaci... ojca! I wtedy co się okazało? W moim domu stał duży fortepian. To było miejsce mojej ucieczki – pod fortepian. Gdy «sprawiedliwość» się zbliżała, moje cztery pokrzywdzone siostry obsiadły wokół fortepian i błagały ojca, aby egzekucję odłożył na później. Thumaczyły: On się poprawi, nawróci. Jak widziacie «nawróciłem się»”³.

„GDY BYŁEM MAŁYM CHŁOPCEM i biegałem po piaskach mojej rodzinnej wioski, nad Bugiem, nie myślałem o tym, że kiedyś będę przemawiał do młodzieży w Wojciechowej bazylice, w Gnieźnie. Mając lat dziesięć po raz pierwszy dostałem do ręki w domu mojego ojca książkę ukazującą historię Polski, pod tytułem: *Dwadzieścia cztery obrázky*. Oczywiście była to książka zabroniona, nie wolno jej było przechowywać w domu, ale mój ojciec był człowiekiem tak oddanym sprawom Narodu, że narażając się na przesładowania, nie lękał się uczyć swoich dzieci historii Polski, choćby potajemnie. W tej właśnie książce

² SW, Stryszawa, 1 VIII 1965 r., SC, s. 196.

³ SW, Warszawa, czerwiec 1970 r., *Idzie nowych ludzi plemię* [dalej IN], Poznań–Warszawa 1973, s. 303–304.

znalazłem elewację bazyliki Świętego Wojciecha w Gnieźnie. Już wtedy się w niej rozkochałem, chociaż nie wiedziałem, co będzie dalej.

Ale ziarno gorzyczne, gdy wpadnie w duszę człowieka, trzyma się wiernie i towarzyszy mu przez całe życie. Wcześniej zrodziła się we mnie miłość do tej bazyliki, do jej gotyckiego wystroju, do jej dziejów, do kultu, który związały jest z początkami Narodu, chrześcijaństwa i państwa polskiego. Wcześniej poznałem dzieje Świętego Wojciecha, Bolesława Chrobrego i Dąbrowski, Świętego Bogumiła – dzieje naszego Narodu, ciągnące się przez tysiąc lat, aż do dziś dnia wszechpiejące się w krew, w myśli i serce człowieka, nie dające się od niego oderwać”⁴.

„URODZIŁEM SIĘ NA STYKU PODLASIA Z MAZOWSZEM. Pamiętam do dziś dnia ludzi prostych, których obserwowałem jako chłopiec. Zdumiewająca była ich spokojna, ufna wiara. Tego nie można nazwać żadną miarą niewiedzą religijną, bo z tym się łączy patrzanie w głąb, niemal jakies mistyczne obcowanie. Ci ludzie widzą to, w co wierzą [...]. Obserwatorzy tego nie widzą, ale oni – widzą! Pamiętam do dziś dnia kaleką kobietę, która jeździła na wózku, odpychając się kijem [...]. Jako chłopak biegałem, ona mnie zatrzymywała. Nie umiała czytać biegle, ale miała książeczkę Tomasza á Kempis, z którą zetknąłem się jako ośmioletni chłopiec. Kiedyś zaczęła: Lataś, lataś, usiądź tutaj, poczytaj mi albo ja ci otworzę na chybił trafił, to mi odczytasz. Nieraz z trudem jej czytałem, nie zawsze rozumiałem, ale ona cała była w tym, co się jej czytało. No, to ci dziękuję, leć już, a ja sobie pomyślę. – Prosty człowiek!

Dopiero później przypomniałem sobie książeczkę Tomasza á Kempis tej prostej staruszki. Czy można ocenić to jako niewiedzę religijną, skoro w niej było widzenie prawdy Bożej i pełne oddanie się Bogu?”⁵.

„NIE WSZYSTCY tu obecni – pozwólcie, że odwołam się do swoich bardzo osobistych uczuć i przeżyć – wiedzą, co mnie osobiście łączy z miejscowością Urle. A nie wiem, czy w tej chwili dużo jest w tym kościele takich, którzy chodzili po Urlach w latach 1905, 1906, 1907, 1908 [...]”

Przyjeżdżałem tu z moją matką, która mi zawsze mówiła: Jak będziesz grzeszny, to cię weźmę do Urli. A dla mnie największą uciechą była podróż do Łochowa, stamtąd do Urli, a czasem do Tuszcza. Różnie bywało. Ale wi docznie czasami byłem grzeszny, skoro moja mamusia przywoziła mnie tu. A przywoziła mnie dlatego, że była związana z Urlami, z tą okolicą, z parafią

⁴ SW, Gniezno, 19 XI 1978 r., w: *O polskim Papieżu z Krakowa* [dalej PPK], Poznań 1979, s. 97–98.

⁵ SW, Gniezno, 28–29 IV 1968 r., w: *Kazania i przemówienia autoryzowane* [dalej KPA], t. XXVIII, mps w Archiwum Instytutu Prymasa Wyszyńskiego.



Kamiieńczyk, gdzie była ochrzczona, podobnie jak mój ojciec i moi dziadkowie. Przywoziła mnie tu dlatego, że urodziła się niedaleko stąd, na dzisiejszym osiedlu Fidest – tam też bywałem – więc była żywo związana z tymi stronami, a mnie wszystko, co dotyczyło matki, bardzo interesowało. Bo wszystko, co jest własnością matki, interesuje dziecko. Tutaj w Urłach moja mama miała swoje panińskie wyposażenie, swój posag, w postaci dwóch letniskowych domków, które dzisiaj zniszczały. Zrosłem się więc z Urłami tak, że chociaż od tamtej pory upłynęło ponad 70 lat, jednakże sercem zawsze tutaj ciągnę. Mówię to głównie dla gości wakacyjnych z Warszawy, którzy pewnie nie wiedzą o tym, że ich biskup stąd pochodzi, przez swoich ojców i dziadków, właśnie z tych stron, z parafii Kamiieńczyk. Chociaż wiele włożyłem się po całym świecie, jednak serce zawsze człowieka ciągnie do miejsca, skąd pochodzą jego rodzice⁶.

W KWIETNIU 1910 ROKU państwo Wyszyński sprowadzili się do Andrzejewa, miasteczka leżącego na bezleśnej równinie nad niewielką rzeczką Broczkiem, w powiecie Ostrów Mazowiecka. Ojciec pracował nadal jako organista w miejscowym kościele z XV wieku. Dziewięcioletni Stefan rozpoczął naukę w miejscowej szkole we wrześniu 1910 roku. Była to typowa szkoła z czasów zaboru, z rosyjskim językiem wykładowym. Stefan był raczej małym chłopcem, żywym, impulsywnym, czasem buntowniczym – miał już własne spojrzenie na wiele spraw. Pewnego dnia matka, będąca w ciąży, ciężko zachorowała. Ojciec posłał do szkoły młodszą siostrę, by poprosiła nauczyciela o zwolnienie chłopca. Podczas gdy nauczyciel zastanawiał się, Stefan był już w drzwiach klasy; podrażniony nauczyciel kazał chłopcu wrócić na miejsce. Stefan grzecznie podziękował nauczycielowi za naukę, oświadczając jednocześnie, że więcej do szkoły nie przyjdzie. Chłopiec rzeczywiście nie wrócił. Przyczyniło się do tego jeszcze inne wydarzenie – nieszczeście, które dotknęło jego rodzinę. 31 października 1910 roku Stefan stracił matkę, która umarła mając zaledwie trzydzieści trzy lata po porodzie kolejnego dziecka, dziewczynki, która również umarła w kilka dni później⁷.

„MATKA MOJA UMIERAŁA PRAWIE MIESIĄC. My – dzieci – siedząc w szkole, z łękiem nasłuchiwaaliśmy, czy nie biją dzwony kościelne. Dla nas byłby to znak, że matka już nie żyje. Kiedyś po powrocie ze szkoły stanęliśmy wszyscy przy jej łóżku, a matka zwróciła się do mnie słowami: – Stefan, ubieraj się! Ponieważ była jesień, koniec października, zrozumiałem, że mam gdzieś iść. Włożyłem palto. Spojrzała na mnie i powiedziała: – Ubieraj się, ale nie tak,

inaczej się ubieraj! Zwróciłem na Ojca pytające oczy. Odpowiedział mi: Później ci to wyjaśnię [...]. Gdy wyjaśnił, zrozumiałem, że matce nie o to szło, bym ubierał się w palto, tylko bym «ubierał się» w cnoty, przygotowując się do przyszłej drogi. Czy wypełniłem jej ostatnie do mnie skierowane słowa – trudno mi na to odpowiedzieć. Każdy człowiek rachując się w sumieniu wie, że mógłby lepiej odpowiedzieć łasce Bożej. I ja również. Wielką tajemnicą jest łaska, którą Bóg daje, lecz od nas zależy jej skuteczność⁸.

„Z ANDRZEJEWEM JESTEM ZWIĄZANY BARDZO MOCNO. Tutaj bowiem od roku 1910 wychowywałem się, tutaj jako dziewięcioletni chłopiec utraciłem matkę. Spoczywa ona na cmentarzu parafialnym. W tej świątyni po raz pierwszy przystąpiłem do Stołu Pańskiego. Tutaj uczyłem się służyć do Mszy Świętej i przez dłuższy czas przy tym właśnie odtarzu posługiwałem. W tym też kościele w roku 1913 przyjąłem sakrament bierzmowania z rąk – późniejszego męczennika – ówczesnego biskupa płockiego Juliana Nowowiejskiego. Wspomnienia te zachowuję głęboko w sercu.

Spotkanie małego chłopca z dostojnym biskupem wywarło na mnie potężne i niezatarte wrażenie. Ilekroć później zapraszany byłem z różnymi odczytami do Płocka, biskup Nowowiejski – wówczas już arcybiskup – często mi powtarzał: Bierzmowałem księdza profesora, a tak rzadko do nas przyjeżdża. – Jak gdyby słusznie uważał, że powinienem płacić tym, na co mnie stać, za wielką łaskę pasowania mnie na rycerza Chrystusowego.

Ale te wyjątkowe zdarzenia były jak gdyby znakami świetlanymi na tle zwykłego, codziennego życia i trudu, w którym – choć mały – brałem już udział i na który patrzyłem.

W tej świątyni w Andrzejewie kształtowało się, rozwijało i dochodziło do świadomości moje powołanie kapłańskie. Tutaj postanowiłem, że pójdę do seminarium i będę pracował nad tym, aby zasłużyć sobie na łaskę kapłaństwa. I tu po raz pierwszy wyjawiałem swoją tajemnicę ojcu, który tyle lat służył ku większej chwale Bożej. Nie bez oporu otrzymałem od ojca błogosławieństwo na drogę kapłaństwa Chrystusowego.

Nie jest to wszystko, co sobie zapamiętałem, bo życie człowieka składa się z szeregu drobnych moze, ale wiele niekiedy znaczących i decydujących chwil. Pamiętam jedną z nich. Było to w Wielki Piątek, w nocy. Cała niemal parafia zebrała się na ostatnie Gorzkie żale. Śpiewano wszystkie trzy części, jak wtedy było w zwyczaju, a w przerwach obchodzono drogę krzyżową. Całą noc przesiedziałem w kościele, skulony przy konfesjonale, który stał przy wejściu do zakrystii. Zapamiętałem mocno tę modlitwę przy grobie Chrystusa. Przeżycia tej nocy rzeźbiły moją chłopięcą duszę, pomagały mi odkrywać piękno drogi,

⁶ SW, Urle, 9 VII 1978 r., KPA, t. LX.

⁷ Por. P. Raina, *Stefan Kardynał Wyszyński, Prymas Polski*, Londyn 1979, t. I, [dalej: Raina], s. 23.

⁸ SW, Andrzejewo, 13 VI 1971 r., SC, s. 193–194.



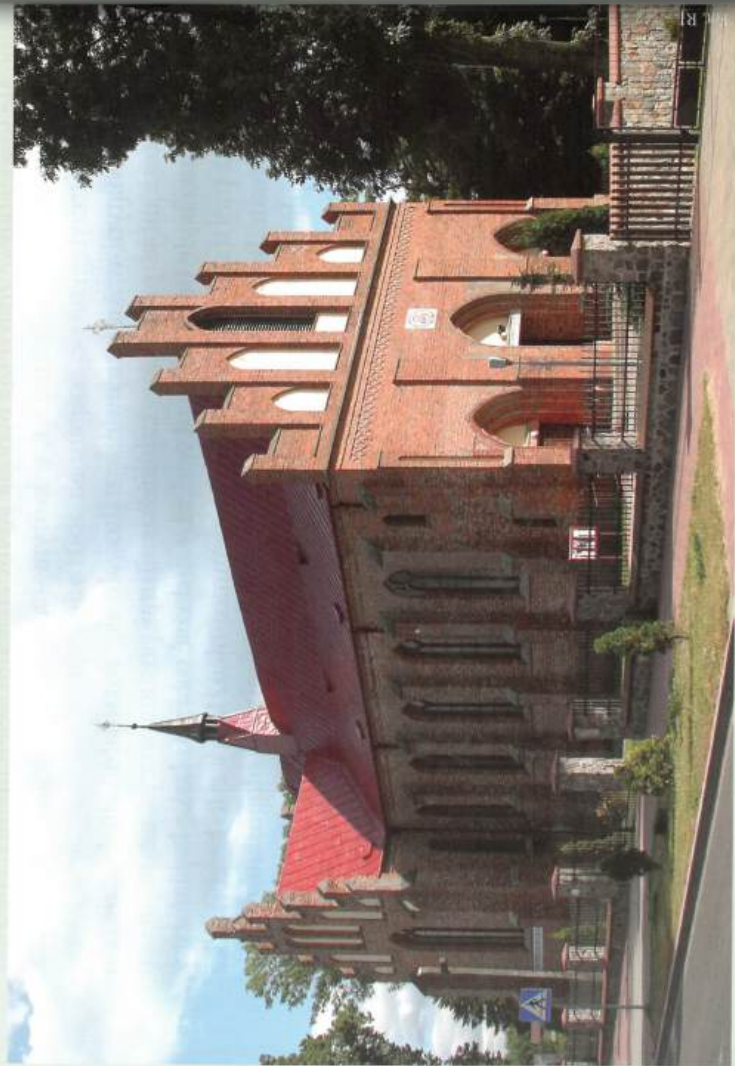
Dawna szkoła powszechna, obecnie muzeum w Żuzeli



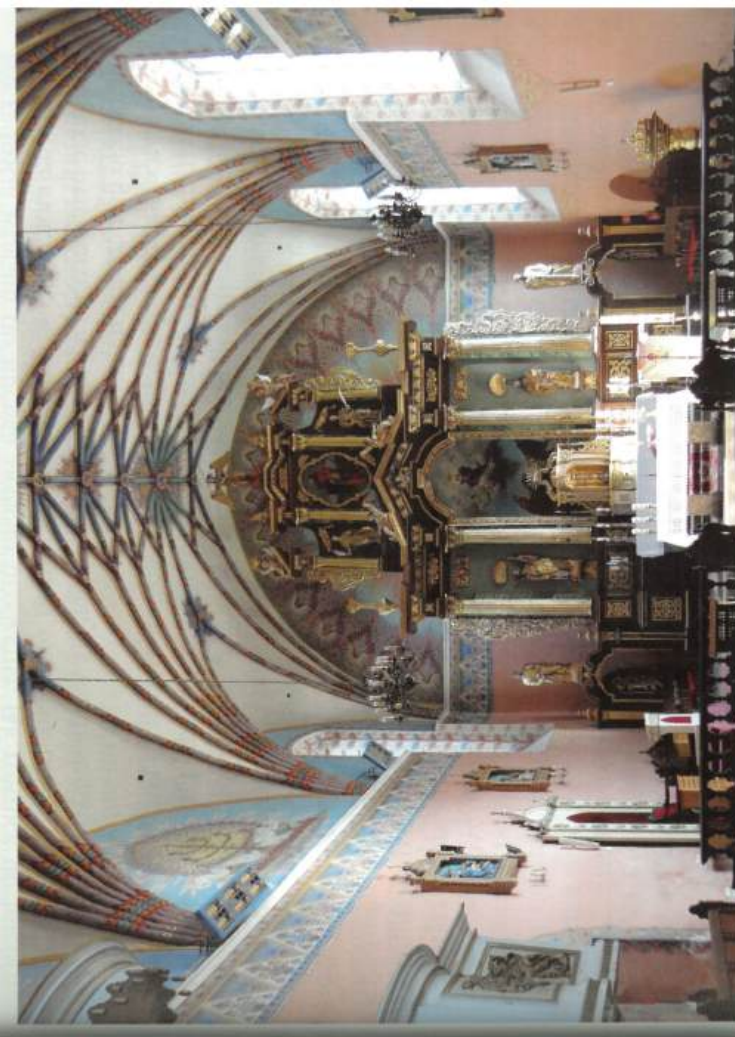
Chrzcielnica w kościele w Żuzeli



Ołtarz NMP Różańcowej w kościele w Andrzejewice



Kościół pw. Przemienienia Pańskiego w Żuzeli



Wnętrze kościoła pw. Wniebowzięcia NMP w Andrzejewice

którą zamierzałem pójść. Uważałem, że to jest jedyna droga dla mnie, nie może być innej. I do dziś dnia nie mam żadnej wątpliwości, że taka powinna być moja droga”⁹.

„ZANIM POSZEDŁEM NA DALSE STUDIA, uczyłem się w tutejszych szkołach. W Ziemi Łomżyńskiej ujrzałem światło dzienne; ziemi tej oddałem prochy mej matki, która opuściła mnie bardzo wcześniej, gdy byłem zaledwie dziewięcioletnim chłopcem. Danym mi było wykarmić się czarnym chlebem razowym tej ziemi, oddychać jej powietrzem i korzystać z jej słońca. Na za-proszenie waszego arcybiskupa jestem dziś z wami.

Obecność tę uważam sobie za, częściowe przynajmniej, spłacenie długu wdzięczności tej ziemi umiłowanej. A że dzieje się to pod opieką Tej, która nam wszystkim: i wam, i mnie, serce urzekła, to tym lepiej i radośniej”¹⁰.

„PATRZYŁEM NIERAZ W SWOIM RODZINNYM DOMU – dawne to czasy – jak wyrabia się chleb w dzieży. Do dzieży sływał pot z czoła, człowiek się uczciwie napracował, zanim wyrobił chleb”¹¹.

„ZAWSZE Z OGROMNYM WZRUSZENIEM wraca się do miejsc, z którymi człowiek związany jest pochodzeniem. To wzruszenie nie jest mi obce. Chociaż w życiu swoim byłem tu i ówdzie, zwiedziłem kawał świata, to jednak z największą radością wracam do miejsca swojego urodzenia, jak również do miejsca urodzenia moich ojców i dziadów. Wyobrażam sobie, jak było wtedy, gdy oni żyli: jakie były warunki ich bytowania, jaka dola, jak wtedy smakował chleb, czy nie brakło go i czy był należycie uszanowany.

Odwiedzałem swojego stryja w jego gospodarstwie. Pamiętam na stole czarny chleb i zacheę: Jedzi! Czym chata bogata, tym rada. Ostatni raz byłem tam w 1923 roku, na kilka miesięcy przed moimi święczeniami kapłańskimi. Żyła jeszcze moja babunia, staruszka, poprosiłem ją o błogosławieństwo na drogę kapłańską. Ta prosta kobieta, zegnając mnie, powiedziała: Pamiętaj, jeżeli będziesz złym księdzem, to mi się na oczy nie pokazuj. – Wojna nie pozwoliła mi być na jej pogrzebie. Ale to, co powiedziała w przedziwnej mądrości człowieka prostego, lecz wierzącego, zapadło mi w duszę. Do dziś dnia dobrze to pamiętam i nigdy nie zapomnę. Te proste, lecz zdecydowane słowa kobiety chrześcijańskiej miały wielkie znaczenie dla mojego osobistego życia”¹².

⁹ SW, Andrzejewo, 13 VI 1971 r., SC, s. 193.

¹⁰ SW, Łomża, 19 IX 1959 r., w: *Gody w Kamie* [dalej GK], Paryż 1962, s. 91–92.

¹¹ SW, Malbork, 18 VIII 1960 r., GK, s. 102.

¹² SW, Kamięcznyk, 27 V 1964 r., w: *Dzieła zebrane* [dalej DZ], t. XII, Warszawa 2013, s. 421.

„PO ŚMIERCI MATKI NASZEJ służąca domowa, zacna Ulisia, często nam mówiła o Matce Niebieskiej. Byłem sercem związany z pięknym posągiem Matki Bożej, stojącym na cmentarzu kościelnym w Andrzejewie. Gdy już byłem w Warszawie, w Gimnazjum Wojciecha Górskiego, uczucia swoje przeniosłem na posąg Matki Bożej Passawskiej, na Krakowskim Przedmieściu, przed kościółkiem Res Sacra Miser, gdzie zbierały się niektóre klasy szkolne na nabożeństwo”¹³.

STEFAN UCZESZCZAŁ W WARSZAWIE do prywatnej szkoły Górskiego w latach 1912–1914, do wybuchu pierwszej wojny światowej. Miał wówczas 13 lat. Był wysoki, szczupły i przystojny. Bolesne doświadczenie wojenne przeżył w rodzinnym Andrzejewie. Miasteczko to zostało spalone przez Rosjan, którzy cofali się przed Niemcami bez walki i niszczyli bezlitośnie kraj. W Andrzejewie ocalał kościół i kilkanaście domów [...]. Przeżycia wojenne i związane z nimi cierpienia, których chłopiec zaznał w tak młodym wieku, wywarły na nim głębokie wrażenie”¹⁴.

„DO SZKOŁY BYŁEM PRZYJĘTY przez Marię Górską na jesieni 1912 roku. Odcity przez wschodni front wojny 1915 roku nie zdołałem już wrócić do szkoły. W tym okresie zmiany frontu miałem zaszczyt ucierpieć za kępi szkolne, które Niemcy uznali za francuską prowokację i mocno mnie poturbowali. «Moją szkołą» zawsze jednak pozostaje we wspomnieniach szkoła Wojciecha Górskiego w Warszawie. Jest to znamienna instytucja dla młodego ucznia, który może żyć w niezgodzie z nią jako uczeń, ale jako dorosły człowiek pamięta tylko same miłe rzeczy i sprawy. Podobnie myśli się o matce rodzonej, której najbardziej samodzielny umysł nie umie przypisać żadnych braków.

W moich wspomnieniach szkoła Górskiego miała tak wielki autorytet społeczny i narodowy, że budziła swoisty patriotyzm szkolny. Zwłaszcza w mieście, które posiadało silne szkolnictwo państwowe. Mijanie na ulicy ucznia w czapce szkoły państwowej zawsze mobilizowało ducha wyższości i satysfakcji. Nieraz dawano temu wyraz niedwuznaczny. Młodzię niższych semestrów – do dziejącego włącznie, miała rzadki kontakt z dyrektorem. Jednak ukazanie się jego szczupłej, wysokiej postaci na korytarzach przywracało ład i ciszę. Nie słysząc, by kiedy podnosił głos, wystarczyło, że spojrzal swoim uważnym wzrokiem.

Częściej natomiast miałem kontakt z inspektorem Ludwikiem Lorentzem, na którego podręcznikach uczyliśmy się języka niemieckiego. Jego małżonka, która uczyła geografii, była powszechnie lubiana dla swej wysokiej kultury i bardzo pięknych wykładów. Zwłaszcza o Italii mówiła tak interesująco, że

¹³ SW, Rywałd, 11 X 1953 r., w: *Wszystko postanowiłem na Maryję* [dalej WPM], Paris 1980, s. 71.

¹⁴ Por. Raina, s. 29.

wspomnienie tych lekcji służyło mi później w czasie moich licznych podróży po tym kraju. Jej oddanie się młodzieży zjednywało wśród najbardziej niespokojnych duchów – szacunek.

Wielkie wrażenie wywoływał zawsze mój wychowawca semestralny, Antoni Górski; pozyskiwał swoim spokojem, umiarem w karzeniu i wyznuwaną życzliwością.

Pierwszy rok wojny (1914–1915) opustoszył szkołę. Na moim semestrze nie pozostała i połowa kolegów, gdyż rodziny były odcięte frontem zachodnim od Warszawy, a wiele z nich wyjechało na wschód. W czasie lekcji bardziej wsluchiwalimy się w huk dział niż w wykłady. Ale rok szkolny był doprowadzony do końca. Wtedy też częściej zaglądał do sal szkolnych dyrektor Górski, uspokajał młodzież, zachęcał do wytrwania i nauki – «bo idą nowe dni i wzrasta nasza odpowiedzialność za to nowe»¹⁵.

„PAMIĘTAM ZE SZKOLNYCH LAT zdanie, skierowane do mnie przez wychowawcę w Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie. Była to klasa bodaj III czy IV. Podczas jakiejś zabawy bronilem się przeciwko moim kolegom, jak umiałem [...]. Mój wychowawca, nie znający widać moich «możliwości», powiedział na sobotniej odprawie tylko tyle: Cicha woda brzezi rwie. Wiele mów słyzałem w tej szkole, ale niewiele mi z nich pozostało. To zdanie zapamiętałem, bo było powiedziane bardzo trafnie, z głęboką miłością do człowieka, którego chce się właściwie ustawić w życiu»¹⁶.

WLATACH 1914–1917 Stefan, nie mogąc się dostać do Warszawy odgródzonoj od Andrzejewa linią frontu, uczył się w Gimnazjum Męskim im. Piotra Skargi w Łomży. Mieszkał na stacji u jednego z profesorów.

Władze okupacyjne w Łomży zabroniły działalności harcerstwa. Zdarzyło się, że podejrzanym o przynależność do tej młodzieżowej organizacji skazywano na 25 pejczów. Stefan bardzo aktywnie udzielał się w harcerstwie i nieraz złapany przez Niemców otrzymywał kary chłosty. O tych karach wyraził się później, że były to „pierwsze cierpienia dla Ojczyzny”. Młodzież w Łomży musiała też walczyć z głodem. Stefan od czasu do czasu otrzymywał od rodziny paczki, którymi dzielił się z kolegami.

Podczas wakacji letnich 1917 roku Stefan powiedział ojcu o zamiarze wstąpienia do seminarium duchownego. Ojciec był zdziwiony oświadczeniem szesnastoletniego chłopca. Zapytał go, czy zdaje sobie sprawę, co znaczy być księdzem [...]. Ostatecznie Stefan został zapisany do Liceum Piusa X we

Włocławku – tak zwanego małego seminarium, gdzie nauka trwała 2 lata, aż do matury¹⁷.

W jesieni 1918 roku pan Wyszyński wraz ze swoją drugą żoną Eugenią przeniósł się do Wrociszewa położonego nad Pilicą, w powiecie grójeckim. (Wkrótce po śmierci swej pierwszej żony, Julianny, Stanisław Wyszyński, obarczony czwórką dzieci, ożenił się z bliską przyjaciółką zmarłej, aby zapewnić dzieciom opiekę. Ta druga matka dzięki swej dobroci zyskała w niedługim czasie szacunek i przywiązanie całej rodziny).

Po roku 1918 ojciec Stefana dalej pracuje w kościele jako organista. Tak jak i na poprzednich placówkach pracy odznacza się w swoim środowisku parafialnym aktywną działalnością społecznokulturalną.

Stefan uczy się bardzo dobrze. Po zdaniu matury w 1920 roku wstępuje do Seminarium Duchownego we Włocławku. Czasy studiów seminaryjnych wspomina przy różnych okazjach.

LATA SEMINARYJNE

„CHCIAŁBYM WSPOMNIEĆ NIEKTÓRE POSTACIE PROFESORÓW z Włocławka. Naprzód człowieka mało znanego, który jednak wywarł na nas, młodych jeszcze ludzi – licealistów – decydujący wpływ. Był to ksiądz Bronisław Ostrycki, ojciec duchowny Liceum im. Piusa X. Kapłan ciężko chory, surowy, święty, w sposób niesłychanie zwarty kładł w nasze dusze podstawy życia wewnętrznego, religijnego. Był bardzo trzeźwy. Ilekroć ktoś koloryzował albo wchodził na wyższy stopień doskonałości, niżby wypadało, mówił: *Domine, domine* [Panie, Panie], trzeźwo, niżej. Najpierw chodzić po ziemi, a później paść w niebo. – Ten święty człowiek dawał nam zdrowe zasady życia wewnętrznego. To jest jedno wspomnienie, które wywołuję z pamięci. Wspomnienie dla mnie bardzo drogie i niesłychanie doniosłe w moim życiu osobistym.

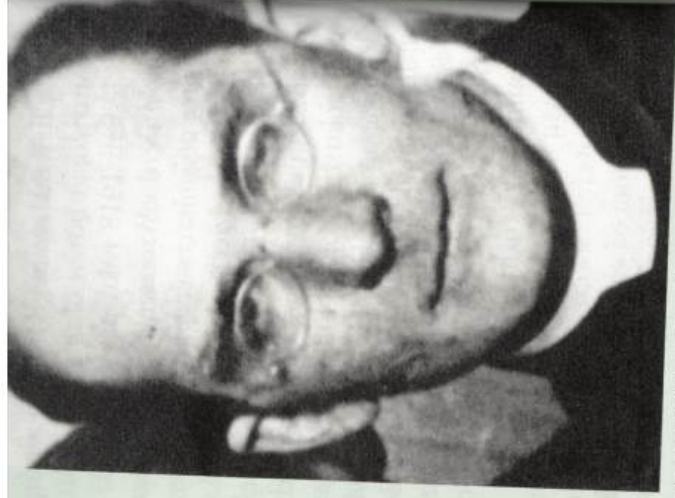
Pragnę wspomnieć drugą postać – człowieka, z którym mieliśmy bardzo mało kontaktu, bo pracował naukowo. Widywaliśmy go rzadko. Siedział w archiwum. Znał najlepiej dzieje diecezji włocławskiej. To ksiądz Stanisław Chodźski. Był on nominalnie rektorem. Faktycznie obowiązki pełnił kto inny, gdyż on całkowicie oddany był pracy naukowej. Nieraz korzystaliśmy z jego roztargnienia, aby pod nieobecność wicerektora wytargować jakąś ulgę. Jak później rozstrzygano powstałe stąd konflikty, to nas już nie obchodziło. Dla nas ważną rzeczą było, że coś zdołaliśmy wytargować, chociaż w sposób niezupełnie uczciwy, lecz dla początkujących ascetów zupełnie dopuszczalny. Mało

¹⁵ SW, Warszawa, I IX 1977 r., KPA, t. LVIII.

¹⁶ SW, Warszawa, 30 III 1968 r., IV, s. 286.



Alumn Stefan Wyszyński



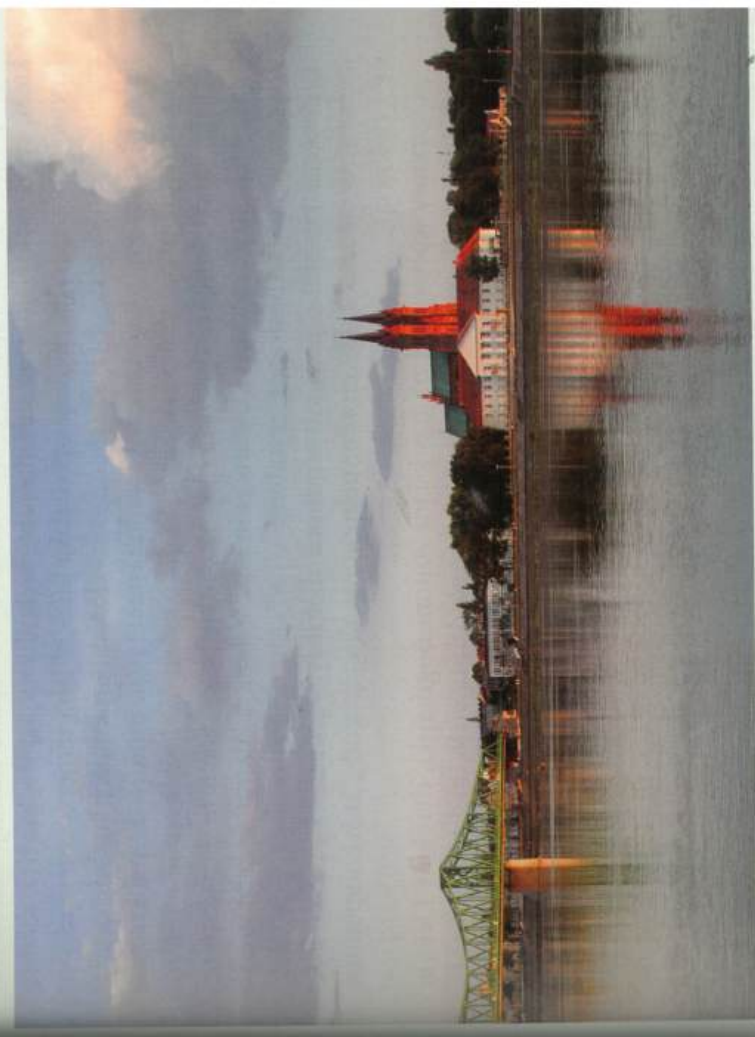
Ksiądz Władysław Kornilowicz,
ojciec duchowy Stefana Wyszyńskiego



Klerycy Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku. Stefan Wyszyński stoi w drugiej rzędzie od góry, czwarty od prawej



Kleryk Stefan Wyszyński (w środku stoi) z kolegami z seminarium we Włocławku, 1921 r.



Włocławek – widok na katedrę i Pałac Biskupi

znaliśmy księdza Chodyńskiego, ale podziwialiśmy jego wysoką kulturę umysłową i wielką pracowitość kapłańską.

Skoro mówię o ludziach pracowitych, którzy przesunęli się przez uczelnię, to z wielkim szacunkiem i czcią muszę mówić o księdzu Józefie Kruszyńskim, drugim rektorze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Mieszkał na dole, w pokojach o szerokich oknach, w których rzadko gasło światło. Był człowiekiem pracy, nauki i wielkim przyjacielem młodzieży duchownej. Ilekroć zauważył zakłopotanie alumna, zwłaszcza w czasie egzaminu, gdy wiedza na dnie czaszki wyczerpywała się przedwcześnie, patrzył w okno, udawał roztagonionego i największy «pływak» na dno nie poszedł.

Wielkim przyjacielem alumnów był biskup Stanisław Zdzitowiecki. Często przychodził na wykłady niezapowiedziany. Było to niekiedy szczęściem. Bo jeśli młody adept wiedzy, zwłaszcza łaciny – jak się i «denatowi» zdarzyło – zaplątał się w tajemniczej wiedzy łacińskiej, wtedy ksiądz biskup dawał pytania łatwiejsze, a gdy się jakoś udało, tłumaczył profesorowi: No, widzi ksiądz profesor, że tak źle nie jest, on jednakże coś umie.

Z nadzieją i wdzięcznością patrzyliśmy w trudnych sytuacjach na drzwi, czy przypadkiem nie wchodzi biskup Zdzitowiecki.

Jeśli mówię o przyjaciółach, muszę wspomnieć o biskupie Krynickim, który był dość długo rektorem seminarium i jako rektor został mianowany biskupem pomocniczym wrocławskim. Kiedyś w czasie wakacji zimowych, które spędziliśmy tutaj, w seminarium, wybraliśmy się do księdza rektora Krynickiego z prośbą, żeby nas puścił do miasta. Pyta mojego kolegę: Po co chcesz iść do miasta? – Oprawić książki. – Tak czytaj książkę, byś nie musiał jej oprawiać. A ty po co chcesz iść do miasta? – pyta mnie. – Kupić książkę. – A czy ty już przeczytałeś wszystkie książki, które są w bibliotece? – Jeszcze nie. (Było ich około stu tysięcy). – Jak wszystkie przeczytasz, to przyjdź, wtedy cię puszczę do miasta. – Ostatecznie pozostałem, by czytać te książki i do dziś dnia wszystkich nie przeczytałem.

Rzecz znamienna, pomimo trudnych niekiedy warunków, zwłaszcza po wojnie, były jednak takie chwile, pełne niezwyklej pogody, które wspomina się z radością.

Ogromny wpływ miał na nas ksiądz Antoni Bogdański, dyrektor Liceum im. Piusa X, mój wychowawca. Byliśmy za młodzi, za mało mieliśmy doświadczeń, żeby dobrze rozznać duchowość tego człowieka. Wielką tajemnicą Bożą były jego niezwykła pogoda i uśmiech wśród cierpień, które go nigdy nie opuszczały. Choroba nie miała wpływu na przyhamowanie jego pracowitości i zapahu apostołskiego. Do ostatniej niemal chwili kontaktowałem się z nim. Na kilka dni przed śmiercią odwiedziłem go w Skulsku, gdzie był proboszczem. Zaprosił mnie do siebie. Niemalże nie poznałem go. Rozmowa, którą wtedy

przeprowadziliśmy, krótka i zwięzła, wstrząsnęła mną do żywego. Czytał po prostu w moim przyszłym życiu. Wszystko, co mnie spotyka dziś, już wtedy mi przepowiedział. Skąd wiedział, to była jego tajemnica, bo jeszcze się na to absolutnie nie zanośiło, ani w myślach, ani w pragnieniach, ani w planach Kościoła Chrystusowego. Był to rok 1937 czy 1938, dokładnie nie pamiętam¹⁸.

„JEDNO ZDARZENIE zapadło mi głęboko w duszę. Pamiętam, że ksiądz Bogdański, mocno już zgorączkowany, prowadził w roku 1919 wykład z liturgii teologicznej dla nas, alumnów z klasy siódmej. Były to czasy wielkich przemian w świecie, w którym zmagaly się dwie potęgi: nienawiść i miłość. Na razie zwyciężała nienawiść. Ksiądz Bogdański świadom był sytuacji, w jakiej kształtuje przyszłych kapłanów. Powiedział do nas tak: Przyjdą czasy, w których będą wam, tu obecnym, wbijając gwoździe w tonsury. – Może nie wszyscy jego słuchacze przejęli się tym, choć było to wysoce prawdopodobne. Ja zapamiętałem sobie te słowa i później kolegom swoim je przypomniałem.

Czy sprawdziły się one? Może nie w takiej formie, jak to widział nasz profesor, lecz niekiedy w znacznie drastyczniejszej i bardziej napełnionej udręką. Z szesnastu, którzy byli przeznaczeni do święceń kapłańskich w roku 1924, pozostało nas tylko dwóch. Trzynastu Bóg powołał do obozu w Dachau. Powrócilo tylko czterech, pozostali ponieśli męczeńską śmierć w obozie. Z tych, którzy wrócili, trzech było «królikami doświadczalnymi». Dokonywano na nich ciężkich przeszczepów. Ponadto dwóch z naszego kursu przeszło przez więzienia współczesne. Myślę, że w nadmiarze spełniła się wizja naszego profesora z roku 1919. W młodzięcym swoim zapale myśleliśmy, że możemy pić kielich, który przygotował nam Chrystus. Ale nie wyobrażaliśmy sobie, jak wiele trzeba ucierpieć dla imienia Chrystusowego.

Większość z moich wychowawców i profesorów zginęła w Dachau, Orlenburgu, Mauthausen czy Oświęcimiu. Śmiercią swoją przypieczętowali to, czego nas uczyli. Gdy przyszła chwila egzaminu, pamiętali, że największą miłością, w imię której kapłan idzie do ludu, jest służba apostołska temu ludowi. Nie zawahali się, gdy nadszedł moment egzaminu życiowego, i dali świadectwo prawdzie¹⁹.

„SNUJĄC WSPOMNIENIA, pragnąłbym poświęcić kilka chwil uwagi tym profesorom seminarium wrocławskiego, którzy z wielkiej hojności biskupa Zdzitowieckiego zostali posłani do Lublina, gdy powstał Katolicki Uniwersytet Lubelski. Wskutek tego jednocześnie odeszło z Włocławka wielu profesorów,

¹⁸ SW, Włocławek, 18 V 1969 r., SC, s. 43–46.

¹⁹ SW, Warszawa, 3 VIII 1974 r., KP4, t. XLVII.

wśród nich ksiądz rektor Radziszewski, ksiądz Piotr Kremer, ksiądz Antoni Szymański, ksiądz Henryk Insadowski, ksiądz Cezary Pęcherski i kilku innych. W zespole profesorskim powstał kryzys. Ale biskup Zdzitowiecki wielką wagę przywiązywał do powstania Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zaprzynajmniej z księdzem Radziszewskim, którego wysoko cenił, nie mógł odmówić.

Pamiętam rok inauguracyjny w sali teologicznej po odejściu profesorów do Lublina. Biskup Zdzitowiecki tak był uradowany, że mógł tyłu profesorów odstąpić Katolickiemu Uniwersytetowi, iż w zapale powiedział: Wszystko, co miałem najlepszego, oddałem Uniwersytetowi. – Zorientował się jednak, że przecież zostali w seminarium profesorowie, którzy mają autorytet wśród młodzieży, więc zaczął tłumaczyć: Oczywiście, zostało tu jeszcze wielu wybitnych profesorów. – Ale młodzież w przekorze swej myślała, że jednak najlepší profesorowie poszli do Lublina.

Powstanie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ucieszyło wszystkich. My, alumnii, byliśmy osobiście z tym faktem związani. Była to wielka nasza radość i wielki tytuł do dumy, chociaż sami niewiele przyczyniliśmy się do tego.

Przyszły czas wielkiej i trudnej pracy. Gdy mówię o pracy na tej uczelni, muszę wspomnieć jeszcze jednego wychowawcę, księdza Antoniego Borowskiego, organizatora Liceum Klasycznego i reorganizatora Włocławskiego. Był olbrzymem pracy, człowiekiem surowym dla alumnów, wymagającym w sposób bezwzględny. Widzieliśmy jego pracę i dla niej szanowaliśmy go. Tym bardziej, że był zarazem wykładowcą z temperamentem i wiele dawał młodzieży przez swoje wykłady²⁰.

„W CZASIE POBYTU W SEMINARIUM DUCHOWNYM we Włocławku dwa nabożeństwa się wzajemnie uzupełniały: do Serca Pana Jezusa i do Matki Bożej Jasnogórskiej, której obraz był w bocznym ołtarzu. Wszystkie święta Matki Bożej obchodziliśmy z wielkim podniesieniem ducha²¹.”

„WŚRÓD KAPŁANÓW, którym przypisuję największy wpływ na moje życie, w pierwszym rzędzie znajduje się ksiądz Władysław Kornilowicz, jeden twórców dzieła dla niewidomych w Laskach, najbliższy współpracownik duchowy kierownik Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek. Temu kapłanowi awdziejczam bardzo dużo, chociaż wiem, że nie wszystko, co mógłbym od niego wziąć, na skutek właściwych człowiekowi oporów przeciwko łasce, jakiej wiele można było przez niego otrzymać. [...]”

Księdza Kornilowicza widziałem po raz pierwszy w latach 1920–1921, gdy przebywał czasowo w garnizonie wojskowym we Włocławku. Zaproszono go

do wygłoszenia wielu wykładów liturgicznych dla alumnów Wyższego Seminarium Duchownego. Do wielkiej auli teologicznej wszedł zdecydowanym krokiem, rzucił usmiech na powitanie, cisnął na stół czapkę i płaszcz żółnierski, który zsunął się na ziemię, roztargnionym ruchem siadł na zabytkowej katedrze i rozpoczął wspaniały wykład. W tym był cały styl człowieka: takim pozostał do końca życia. Tylko myśli wykładu zdradzały głęboką treść życia tego człowieka. W detalach życiowych nieudany, jak świętek góralski, lecz w całości życia zwarty, indywidualnie wyrazisty, mocny, w słowach Bożych pewny i niemal beztrzeski, ustępliwy²².

„GDY BYŁEM W SEMINARIUM, często lażłem pod murem, w którym wmurowany był ciekawy kamień. Na murze rosły winogrona. Na kamieniu był napis: «*Clamate lapides de pariete* – Krzyczcie kamienie ze ściany». Myślałem sobie: Czyżby to dla odstraszania od winogron? Ale nie, to było na chwałę jakiegoś człowieka, który umarł i któremu po śmierci wykuli taki kamień. Pewnie przedtem tkwił ten kamień w ścianie katedry, ale gdy katedrę odnowiono, wyrzucono go i włączono do muru. Nawet na chwałę zwykłego człowieka miały wolać kamienie ze ściany²³.”

INNE WSPOMNIENIA, TYM RAZEM WAKACYJNE

„KTO CHCE NAPRAWDĘ ODPOCZAĆ, nie zabiera ze sobą na wakacje wszystkich książek, które leżą na biurku odłożone do przeczytania «na później». Nie zamierza również przygotować zaległych egzaminów, bo i tak na pewno nic nie zrobi. Jako «zachęcający» przykład opowiem o swoim doświadczeniu z okresu studiów. W 1920 roku wiozłem w mojej walizce trzy tomy teologii dogmatycznej Tanquereya dla mojego kolegi, który miał poprawkę wakacyjną z tego przedmiotu. Przywiozłem te książki, bo jemu nie mieściły się do walizki. Spotykaliśmy się na wakacjach codziennie, więc mówiłem mu: Zabierz swoje książki. On ich jednak nie zabierał przez dwa i pół miesiąca i oczywiście nie zajął do nich ani razu. Z powrotem więc przywiozłem je do Włocławka. Kolega mój zaś poszedł na egzamin i usłyszał takie zdanie: Widać od razu, że jak ksiądz chce, to jest rezultat. – Opowiedział mi to, gdy przyszedł zabrać swoje książki.

Taki jest zazwyczaj los podręczników zabieranych na wakacje, ale nie zawsze taki jest los egzaminów²⁴.

²² SW, Laski, 15 XII 1946 r., *Nasz Ojciec ks. Władysław Kornilowicz* [dalej: *WK*], Warszawa 1980, s. 87.

²³ SW, *Ojciec nasz* [dalej: *ON*], Paryż 1971, s. 40.

²⁴ SW, *Miłość na co dzień* [dalej: *MC*], t. II, Rzym 1971, s. 153–154.